PAŁAC LUCYPERA

CZYLI

DOSWIADCZENIA

KOCHANKÓW.

MELLODRAMMA.

We trzech Aktach.

ORYGINALNIE

W POLSKIM JĘZYKU NAPISANA PRZEZ JPANA NOWINSKIEGO. ROKU 1826 FEBRUARII 5 DNIA.

WILNO.

w Drukarni Zymela Nochimowicza i komp.

1826.

Dozwala się drukować pod tym warunkiem, aby po wydrukowaniu, nie pierwiey wydawać zaczęto, aż będą złożone w Komitecie Cenzury exemplarze tey xięgi: ieden dla tegoż Komitetu; dwa dla Departamentu Ministeryum Oświecenia; dwa dla IMPERATORSKIEY Publiczney biblioteki, ieden dla IMPERATORSKIEY Akademii Nauk, i ieden dla Uniwersytetu w Abo. Dan w Wilnie 1826 roku miesiąca Maia 15 d.

Leon Borowski Cenzor.

O S O B Y.

HRABIA, Rudolf.
OSWALD, Jego Siestrzeniec.
LUIDGARDA, Jego żona.
JULIA, Hrabianka, w postaci Amazonki.
ROBERT, Koniuszy Oswalda.
GOSPODARZ Oberży.
TERESSA, Jego żona.
NIEWOLNIK.
4 RYCERZY białych.
4 RYCERZY czarnych.
PAZIOWIE.
NIEWOLNICE.
LUCYPER.
KAT.

UBIOR AKTORÓW.

Hrabia, po hiszpańsku pierwiey iak Lucyper.
Oswald, po hiszpańsku w zbroi.
Luidgarda, po hiszpańsku bogato, poźniey w bieli z rozpuszczonemi włosami.
Julia, czarno bogato w szyszaku i z kopią.
Robert, komicznie po hiszpańsku.
Gospodarz, z niemiecka.
Gospodyni, po niemiecku.
Niewolnik, czarno.
4 *Rycerzy* biało z szyszakami i pałaszami.
4 *Rycerzy* czarno z szyszakami i z kopiami.
Paziowie, po hiszpańsku.
Kat, czerwono.

AKT PIERWSZY.

SCENA I.

Teatr wyobraża Austeryą z pobocznemi drzwiami. (noc).

GOSPODARZ i GOSPODYNI.

GOSPODARZ.

Już się zmierzcha, a ieszcze ich nie widać.

GOSPODYNI.

Ja sądzę, że muszą być iuż niedaleko.

GOSPODARZ.

Dla czego nie zapalicie ogniu w chacie? iuż ciemno, idź do swoiey roboty, day podróżnym wszelką wygodę, może kto czego potrzebować będzie?

GOSPODYNI.

Juz ty lepiey odemnie gości przyiąc nie potrafisz; gdyby się z gospodarstwem spuścić na ciebie, to pewniebyśmy pomarli oboie z głodu.

GOSPODARZ.

No, no; u ciebie wszystko na ięzyku ale w czynnościach żadnego nie widzę pospiechu, idź przygotuy wszystko, wszakże się dziś gości spodziewamy; znużeni podróżą, będą chcieli wygody, a nadewszystko, pamiętay trzymać ięzyk za zębami.

GOSPODYNI.

O! iuż męszczyzni za iedynych do sekretu się macie, a przecie się często przytrafi że równo z kobietami, rzadko utrzymać potraficie; ale w samey rzeczy móy mężu, co to ma być z tego wszystkiego, to ia poiąć nie mogę.

GOSPODARZ.

Tym lepiey, bo też wiedzieć tego niepowinny; pilnuy swoiego gospodarstwa, a niezaprzą- sobie głowy rzeczami które do ciebie by- mniey nie należą.

GOSPODYNI.

Ale bo ten nasz nowy dziedzic, dobry, poczciwy, ale szczególny człowiek; zawsze zamyślony, zawsze pochmurny, wtenczas się tylko usmiecha, kiedy dobrze ludziom czyni.

GOSPODARZ.

No! i cóż ma być w tym szczogólnieyszego?

GOSPODYNI.

Ale! on nam wiele szkodzi, bo iak tylko

wprowadził się do tych maiętności, ledwo połowę tych zyskow mamy które dawniey pobieraliśmy; a co większa, że w czasie tu iego pobytu, dziwne się u nas wyrabiaią cuda, strachy, upiory.

GOSPODARZ.

Cicho! siedź w kącie, do ciebie ieszcze żaden upior nie przyszedł.

GOSPODYNI.

Ale iak mogę być cicho, kiedy wszyscy prawie ten gościniec omiiaią, aby tylko nieprzeieżdżać tych przeklętych rozwalin starego zamczyska, w którym prawie sam lucyper obrał sobie mieszkanie.

GOSPODARZ.

Ale cicho, mówię! O coż to za ięzyk wyprawny, że też ani chwili milczeć nie może. (*słychać stukanie*). Słyszysz! ktoś przyiechał, może to spodziewani goście.

SCENA II.

Ciż sami i ROBERT.

ROBERT *za sceno.*

A otoż iuż do licha, cóż to zamoda żeby godzinę stukać się do bramy.

GOSPODYNI.

Biegnę! tuż zaraz, zaraz. (*wprowadza Roberta*).

GOSPODARZ.

Otoż i przyiechali, ciekawym ich poznać.

ROBERT *przychodzi.*

Bogu chwała, iestem pod dachem, a to przeklęty woł. aż kości iak połamane wszystkie bolą niemiłosiernie, a osobliwie ta ostatnia grobla, która do tey wsi prowadzi, o mało mi ostatniego niewytrzęsło ducha.

GOSPODARZ.

Czy pan nocować myśli?

ROBERT.

Zapewne że nie inaczey, bo wszystkie powozy połamały się na drobne druzgi.

GOSPODYNI.

To więc i powozy idą za panem?

ROBERT.

Nie za panem idą powozy, ale z panem zostali tam ieszcze na drodze, a mnie posłali abym wziął z tey wsi kilku silnych ludzi, którzyby poiazd do tey austeryi przytoczyć mogli.

GOSPODARZ.

Więc pan iesteś?..

ROBERT.

Wielkim koniuszym niezwyciężonego i odwa-

żnego rycerza Oswalda, który z swoią małżąką iadą w bardzo pilnym interesie do swoiego stryia.

GOSPODYNI.

W pilnym interesie? Jakimby to naprzykład, nie możemy wiedzieć?

ROBERT.

Oto on! ... ale to o tym wiele mówić, a ia iestem i głodny i zmordowanym.

GOSPODARZ.

Rozgość się tu waćpan, a ia poszlę moich ludzi, którzy pomogą powoz przytoczyć do naszey austeryi. (*odchodzi*).

ROBERT.

Dobrze zrobisz, a ia się tu rozgoszczę; bardzo lubię austerye w których gospodynie młode, a kiedy ieszcze dobre wino do tego, otobym się nie gniewał, choćbym cały rok w każdey popasywać.

GOSPODYNI.

Wszystkiego u nas pan dostaniesz, na niczym mu zbywać nie będzie; chociaż mizerna chata, ale dostatek i zapas.

ROBERT.

To dobrze! Pozwol mi się nayprzód uściskać, będzie to preludyum do tych wygod, których będziemy kosztować na tym przyiemnym noclegu.

GOSPODYNI.

Powoli, powoli; nie tak gorąco móy panie, przecięż się lepiey poznać musiemy.

ROBERT.

Obeyrzyi więc mię na około. (*obraca się*). Widzisz żem słuszny człowiek, na cóż nam lepiéy się poznawać, my z moim panem bardzo dobrze żyiemy. On walczy, biie, rąbie, sieka, a ia umizgam się za iego.

GOSPODYNI.

Czy to twóy pan taki rycerz?

ROBERT.

Oho, moia gosposiu! żebyśmy tu nietylko kilka tysięcy, ale całe piekło na drodze spotkali, to on się niczego nie zlęknie. Ja sam iestem niemniey odważnym od niego. Kiedy dobędę pałasza, to tak przestraszam, tak przestraszam, że aż sam lękaiąc się siebie, z placu w nogi drapam.

GOSPODYNI.

Ah! co za szczęście, że niebo sprowadziło nam tak walecznego rycerza, będziemy go prosili, aby się raczył u nas zatrzymać.

ROBERT.

Oy, co to to wątpię, aby się chciał zatrzymać; iedziemy bardzo spiesznie, i gdyby nie ta przeklęta grobla, tobyśmy daley byli poiechali.

G o s p o d y n i.

Daley! niezatrzymuiąc się u naś. Ah! Bogu dzięki, że się taki stał przypadek, nie mielibyśmy tego szczęścia, tak walecznych rycerzy oglądać u siebie.

R o b e r t *na stronie.*

Aha! rozumiem wyborno kobiecino, miarkuię do czego to ona zmierza, zapewne się we mnie pokochała. (*głośno*). Ależ to piękne życzenie moia gosposiu, podróżnym winszować żeby im się osi połamały, kiedy oni chcą spiesznie iechać za własnym interesem.

G o s p o d y n i.

Za iakimże to móy panie koniuszy?

R o b e r t.

Oto widzisz waćpani: móy pan, rycerz Oswald, sprzeciwiał się woli stryia swoiego. niezmiernie bogatego, odrzucił znaczną partyą którą on mu naznaczył, a ożenił się z ubogą panięką. Stryi rozgniewany wydziedziczył go, długo tłukliśmy się po świecie iak marki po piekle, aż nareszcie uprzykrzyło się panu moiemu włóczyć się po kątach, iedzie teraz do stryia, ażeby go przebłagać; ieżeli się to uda, to wygraliśmy; zapłaciemy sobie te biedy któreśmy dotąd wytrzymywali.

G o s p o d y n i.

To twóy pan musi być bardzo poczciwy człowiek, teraz bardzo rzadko trafia się co podobnego.

ROBET.

I owszem, ia pokażę drugi przykład światu, i choć iestem tak odważny iak Herkules, a bogaty iak święty turecki, i z wielkiey pochodzę familii: lecz z prostey linii od wielkiego koniuszego, który Daryuszowi tron przysposobił, ożenię się iednak z biedną dziewczyną, aby tylko miała dziesięć tysięcy dukatow posagu, to zrobię iey ten honor, że zostanie wielką koniuszyną rycerza Oswalda.

GOSPODYNI.

Ale dla czegoż to ieszcze ich nie widać, ciężko mu iechać zapewnie?

ROBERT.

U tak odważnych i walecznych iak my rycerzy, nie ma nic tak ciężkiego, iedno tylko męstwo zbytecznie wiele waży.

GOSPODYNI.

Co za szczęście! że mamy dwóch tak wielkich rycerzy w domu naszym, wkrótce się zeydzie cała okolica, i będzie was prosić.

ROBERT.

My nic dać nie możemy, bo iuż mówiłem waćpani, że prócz nadludzkiey odwagi, i oręża nie wiele mamy.

GOSPODYNIA.

Ach! my sami będziemy się starali wynadgrodzić, byście uwolnili nas.

Robert.

Co! idzie o uwolnienie? moie prędzey męstwo może wre i gotuie się w sercu moim, roschodzi się po całym ciele, może który z tuteyszych wieśniakow trzyma iaką dziewczynę w niewoli.

Gospodyni.

Ach! nie.

Robert.

Może dziki zaiąc chce mówić, tygrysy przestraszaia poczciwych mieszkańców tych okolic?

Gospodyni.

Ach! nie!

Robert.

To może kilka set starych trzymaia w oblężeniu młodego chłopaka, chcą go zmusić do poddania się, rzekni słowo, a iak dobędę pałasza, to ie wszystkie na kapustę posiekam i bigos z nich zrobię.

Gospodyni.

Ach! nie.

Robert.

A cóż u diabła takiego? mów: taki rycerz iak

ia, nad niczym się nie zastanawia powiedz, bo z wielkiego męstwa dalibóg nie wytrzymam.

GOSPODYNI.

Oto w przyległym zameczysku starym, szatani obrali sobie siedlisko.

ROBERT *przestraszony.*

Co, co, co mówisz? szatani! ey z temi ichmościami ciężka sprawa.

GOSPODYNI.

Ależ dla takiego rycerza?

ROBERT.

Ale moia pani, łatwiey woiować z babami, niżeli z temi rogatemi dobrodziciami; nie, co na ten raz nie iestem rycerzem. Ach! iak męstwo moie ustaie; ustaie powoli, i niknie.

GOSPODYNI.

I gdzież się nakoniec podzieie?

ROBERT.

W nogi się wsunie; ale powiedź waćpani przynaymniey, co tam za strachy w tym zamku?

GOSPODYNI.

Oj! dziwne rzeczy się tam wyrabiaią; skoro tylko noc nastanie, szatan zaczyna zaraz swoie

figlasy. Szum, huk, stuk, i nikt spokoynie koło tych rozwalin przeyść nie może.

ROBERT.

Oy! włosy mi powstaia na głowie.

GOSPODYNI.

Kto tylko tam wszedł, iuż więcey nie powrócił.

ROBERT.

O! mnie się waćpani nie lękay, ia nie będę tak głupi, aby muy kark podawał panu szatanowi do skręcenia; ieden tylko mam, gdyby mi skręcił, toby mi żadnego nie pozostało.

GOSPODYNI.

Ależ twóy pan?

ROBERT.

Ach! zmiłuy się, niewspominay mu o tym, to człowiek szalony gotow to głupstwo zrobić. No iakże, daiesz mi na to słowo?

GOSPODYNI.

Dobrze, dobrze, ani wspominać o tym nie będę.

ROBERT.

Przynieś-że mi waćpani butelkę wina na pokrzepienie odwagi, która w bardzo złym znayduie się stanie.

GOSPODYNI.

Zaraz, natychmiast, spieszę. (*odchodzi*).

ROBERT *sam*.

Przeklęta rzecz, niedość mieliśmy biedy. żeśmy tyle kłopotow wytrzymać musieli; ale ieszcze duchy i mary, stanęli nam na drodze. Ach! żeby co prędzey uciec, namówię pana żebyśmy tu nie nocowali; ale to znowu bida, bo droga wypada około zamku; nic, i tak zle, i tak nie dobrze; o tak naylepiey zrobię, wypiię dwa tuziny butelek wina dla odwagi, schowam się za piec. a ręcze że mnie i sam lucyper znaleść nie potrafi. Aha! przecież się przywlekli. gdyby tylko gospodyni chciała dotrzymać słowa.

SCENA III.

OSWALD, LUIDGARDA, ROBERT, GOSPODARZ i GOSPODYNI.

OSWALD.

Naymilszo Luidgardo! tu odpoczniem cokolwiek, nim powoz nasz naprawią, i ruszemy daley w drogę.

ROBERT *na stronie*.

Ay! skóra na mnie drzy.

GOSPODARZ.

Rozgoście się państwo; oto są izby gościnne,

przebaczcie, że lepszych dać nie mogę, bo to są iedyne, iakie w tey austeryi dostać można.

O s w a l d.

Na krótki czas potrzebować będziemy.

L u i d g a r d a.

Ah! Oswaldzie, o iak się lękam, straszliwe przeczucie rokuią mi iakieś okropne nieszczęścia.

O s w a l d.

Tylko twoie wyobrażenia przedstawia ci tak straszliwe widziadła.

L u i d g a r d a.

Jam cię wydarła z łona famili twoiey, iam cię przywiodła do nieposłuszeństwa stryiowi, kochałem cię zbyt mocno, nie mogłem się oderwać od ciebie, a iednak taż sama miłość inne obowiązki mi wskazywała.

O s w a l d.

Luidgardo!

L u i d g a r d a.

Powinnam była może dla twoiego szczęścia poświęcić,.zrzec się twoiey ręki.

O s w a l d.

Luidgardo! miałbym ciebie utracić, raczey życie; nie z stryiem, nie z całym światem, z piekłem samym gotowbym walczyć o ciebie.

LUIDGARDA.

O! naymilszy Oswaldzie, iakież będzie dalsze nasze przeznaczenie?

OSWALD.

Wszystko się szczęśliwie zakończy. Móy stryi iest dobry, da się przebłagać, on nie może, nie powinien Luidgardy nienawidzieć; nie może odepchnąć od siebie tey, która będzie ozdobą naszey familii.

LUIDGARDA.

Co za nadzieia łudzi ciebie Oswaldzie, ale moie przeczucie...

OSWALD.

Uspokoy się naymilszo małżąko, wkrótce zakończą się troski nasze; wkrótce mniemany ten występek nie będzie udręczał nasze dusze.

LUIDGARDA.

A ieżeli gwałtem oderwą cię odemnie i ieżeli cię postradam?

OSWALD.

O! straszliwa myśli, tego uczynić nie zdołaią; przysięgam ci na nowo, że twoim będę wiecznie i żadna siła rozdzielić mnie z tobą nie zdoła, raczey śmierć zakączy.

LUIDGARDA.

Stóy! to być nie może. Oswaldzie! kocham

cię nad życie, ale wolałabym cię oglądać na łonie inney, na łonie twey familii, aniżeli w grobie.

O s w a l d.

Luidgardo! na toż zasłużyłem u ciebie! na łonie inney? Nu przysięgniy mi, że cię nic nie zmusi do zrzeczenia się tey ręki którą wieczne śluby z twoią związały.

L u i d g a r d a.

Żądasz tego? (*rzuca się mu na szyię*) dobrze, przysięgam.

O s w a l d.

Idź spocząć do tey izby Luidgardo, iesteś znużona, potrzebuiesz spoczynku, kto wie iakich sił nam potrzeba ieszcze będzie nim zwalczemy wszystkie przeciwności, iakie nam los na drodze życia zostawać będzie. (*odprowadza*) Niech natychmiast powoz naprawią, poiedziemy daley.

G o s p o d a r z.

Pan niechcesz tu nocować? Hm, hm, *kiwaiąc głową.*

R o b e r t.

Dla czegoż tu panie odpocząć nie mamy. tyle się trudziemy, wszak panie taka austerya, iakiey ieszcze dotąd w drodze nie mieliśmy.

O s w a l d.

Czyń co rozkazuie.

R o b e r t *na stronie.*

Przeklęte to rozkazuie.

SCENA IV.

Ciż i Gospodyni *z butelką.*

G o s p o d y n i.

Oto iest butelka naylepszego wina, iakie w naszey iest piwnicy.

R o b e r t.

Daway go, muszę z niego nabrać rezonu i męstwa do dalszey podróży.

G o s p o d y n i.

Jak to? czy panowie nie myślą tu odpocząć.

O s w a l d.

Na krótką chwilę. Ruszamy daley.

G o s p o d y n i.

Doprawdy? Kiedy północ się zbliża. . . . I maszże pan odwagę koło zamku? . . .

R o b e r t *ciągnie ia.*

Cicho! co waćpani mówisz usłowo.

O s w a l d.

Co to za odwagi potrzeba? wszakże ten gościniec iest dosyć bespiecznym.

GOSPODYNI.

Od ludzi to prawda; ale...

ROBERT *tyka iey usta.*

Pani Gospodyni, niepleć waćpani baiow. (*na stronie*) Oto przeklęty ten ięzyk kobiéci, ani na moment pomilczeć nie może.

OSWALD.

Cóż to iest? Cóż to za taiemnica?

GOSPODYNI.

Oto łaskawy panie. W pobliskim zamku...

ROBERT *na stronie.*

O! bodayżeś oniemiała na wieki.

OSWALD.

No, i cóż?

ROBERT.

Zlituy się waćpani nad moim panem, czy waćpani kark świerzbi iego, że gwałtem oddaiesz szatanowi w pazury?

OSWALD.

Kończże waćpani.

GOSPODYNI.

Oto w pobliskim zamku, straszne złe duchy obebrały sobie siedlisko.

ROBERT.

No, iuż-że teraz po mnie!

OSWALD *śmieiąc się.*

No, czy to tego mam się obawiać?

ROBERT.

Co? czy pan się śmieiesz? Nie ma się tu czego śmiać: to, co ia się tu nasłuchałem, to mi dotąd ieszcze mrówki po ciele przechodzą.

OSWALD.

Takiego, iak ty tylko, tchorza, zastraszyć podobnemi można pasmami.

ROBERT.

Prawda, że pan iesteś odważny rycerz, biiesz się mężnie, ale to z ludzmi nie z duchami: bo choć go pan połbie płatniesz, to kawałek czerepa odskoczy i znowu się przylepi; ale co on panu przyczepi, to'i szatan nie odlepi.

GOSPODARZ.

Tak, panie! dziwne się tu u nas wyrabiaią cuda. cała okolica drży na wspomnienie tych strasznych rozwalin: naypięknieysze pola odłogiem leżą, pastwiska naypożytecznieysze żadnego nie czynią zysku, niechcą się zaymować uprawą roli, ani chcą pędzić trzody na buyne łąki, lękaią sie mocy straszydeł duchow, które się tam zagniezdziły. Nieraz biednych naszych pastuszkow szukaiących zabłąkaney owieczki, znaydowano bez głowy, wyrzuconych z tego okropnego zamku.

ROBERT *ze strachem, bez głowy.*

Ay, ay, ay! mroz ściska krew moią. Ale bo oni może bez głowy tam poszli, iakże mieli z głowami powrócić?

GOSPODARZ.

Kilku walecznych rycerzy, naprózno kusiło się uwolnić tę okolicę od tak strasznego nieprzyiaciela; ale naprózno.

O s w a l d.

Cóż się z niemi stało?

G o s p o d a r z.

Smutny ich los spodkał; bowiem znaydowano ich na drugi dzień poszarpanych na drobne kawałki.

R o b e r t.

Ay, ay! Na drobne kawałki? To wcale brzydka rzecz.

O s w a l d.

Daleko leży ten zamek?

G o s p o d a r z.

Bardzo blisko, ledwie o kilkaset kroków.

O s w a l d.

Muszę zobaczyć to dziwo.

R o b e r t.

Co pan mówisz? Pan chciałbyś się wystawić na takie niebespieczeństwo.

O s w a l d.

Nie widzę tu żadnego niebespieczeństwa.

R o b e r t.

A ia widzę bardzo; widzę, i nie poszedłbym za skarby całego świata.

O s w a l d.

Robert, będziesz mi towarzyszył?

R o b e r t *drżący zawsze.*

Co? Ja? Czy pan głowę utracił; zacóż ia mam z panem razem umierać?

OSWALD.

Ani słowa! Idźmy natychmiast.

ROBERT.

Alez mnie się ieszcze życie niesprzykrzyło. Ja szacuię wielce tych panów co się tam w zamku rozgościli, i niechciałbym im mieszać spoczynku.

OSWALD.

Nieprzyprowadzay mnie do niecierpliwości. Pódź natychmiast!

ROBERT.

Alez pańska małżonka będzie się trwożyć o panu.

OSWALD.

Zakazuię wspominać iey, żem się udał do tego zamku; wkrótce powrócę.

ROBERT.

Ale, powrócę... Gdyby to można było stamtąd powrócić, tobym i ia chętnie poszedł; ale kiedy to zaraz... (*pokazuie do skręcenia głowy*).

GOSPODARZ.

Niechodź pan do tego zamku, nie życzę mu probować się z duchami; niebespieczeństwo wielkie.

OSWALD.

Nieznam tego słowa. Z samym piekłem walczyć czuię w sobie odwagę, muszę zrobić przysługę tey okolicy, uwalniaiąc od łotrów, którzy się tam zagniezdzili, zapewne strachem ią napełniaią.

R o b e r t.

Łaskawy panie! ulituy się nademną. niebiera mnie z solą. ia nie mam tyle odwagi, abym dla tey okolicy miał bić się z wiatrem w polu.

O s w a l d.

No, idźmy!

R o b e r t.

Pani gospodyni! proś za mną. (*klęka*). Cóż panu z tego przyidzie, że mnie szatani bez głowy stamtąd wypuszczą. wszakże nie będę mógł iuż wtenczas panu służyć?

O s w a l d.

Pódź natychmiast! (*porywa za szpadę*) albo na mieyscu ubiię.

R o b e r t *zrywa się*.

Panie! zażartowałem z panem, wszędzie póydę. O! czuię w sobie męstwo zaiącze, chcę mówić, nad ludzką odwagę, muszę się tylko pokrzepić na drogę. (*piie*).

O s w a l d.

No! dosyć iuż tego; póydź!

R o b e r t.

Teraz czuię, że biłbym się odważnie z upiorami. (*do gospodyni*). A czy tam są szatani?

G o s p o d y n i.

A iakże nie, pełno bydź ich musi.

R o b e r t.

Oy! to trzeba się i na nich uzbroić. (*piie*).

O s w a l d.

Robercie; cierpliwość moia wkrótce się skończy.

ROBERT.

Idę iuż, idę, ale, ale... A czy tam iest naystarszy ich dowódca?

GOSPODYNI.

Zapewna bydź może rządzca w tym zamku.

ROBERT.

Ho, to muszę się i na iego odwagę uzbroić. (*piie*).

OSWALD.

Idziesz łotrze, albo nie?

ROBERT.

Idę panie. Teraz tak iestem odważny, że z samym Lucyperem gotów-bym póyśdź na kułaki... Idę za panem.

OSWALD.

Spiesz się, wkrótce powrócięmy. (*odchodzi*).

ROBERT *idzie, i wraca się.*

Poczekay nadobna kobieto! wpędziłeś moiego pana i mnie szatanowi w paszczękę; mnieysza o moiego pana, ale ia, ieżeli mi urwą głowę, to chociaż bez głowy, do waćpani przychodzić będę.

OSWALD *za sceną.*

Robert!

ROBERT.

Idę iuż, idę. (*płacze*). Bywaycie zdrowi gospodarze, módlcie się za moią duszę... Już tu płacz daremny, byway zdrów świecie nikczemny. (*odchodzi*).

GOSPODYNI.

Ależ ten rycerz ma dużo odwagi. Ja bym

nieposzła za skarby całego świata, do tego przeklętego zamku.

GOSPODARZ.

Day Boże, żeby szczęśliwie stamtąd powrócił, z duszy mu życzę tego.

GOSPODYNI.

Każe mu poiazd naprawić.

GOSPODARZ.

Może nietrzeba iuż będzie.

GOSPODYNI.

Ach! może nie trzeba będzie. Już on stamtąd nie powróci, pewno iutro bez głowy go obaczemy. Biedna żona, taka młoda pani, w takim młodym wieku będzie wdową. Niekażałiey nic mówić, że poszedł do zamku.

GOSPODARZ.

Broń cię Boże, żebyś ani wspomniała o tém przed nią.

GOSPODYNI.

A uchoway Boże! przecięż mam rozum i tego zapewnie nie uczynię. Muszę iść do niey zapytać się, czy czego potrzebować nie będzie. (*odchodzi*).

GOSPODARZ *sam*

No, to iuż i ona uwiadomiona zostanie: bo kiedy kobieta ma sobie powierzony sekret, tego naybardziey zatrzymać nie może, zwłaszcza wówczas. kiedy się iey naybardziey żałość okazuie. Póydę teraz do gospodarstwa. Sliczna para, życzyłbym z duszy aby byli szczęśliwi. (*odchodzi*).

SCENA V.

(*Teatr wyobraża gmach starego zamku.*)

ROBERT i OSWALD.

ROBERT *drżący.*

Ach łaskawy panie! nie idźmy daley: cóż tu ma bydź tak ciekawego, iżby po tych przeklętych włóczyć się dziurach? Jeszcze gdzie kawał muru się urwie i zabić nas może, i cóż z tego nam przyidzie?

OSWALD.

Nikogo niewidać, wszystko cicho i spokoynie.

ROBERT.

Bogu niech będą dzięki, żeśmy dotąd nikogo nie napodkali; widać, że nas Bóg chce ochronić; i chociaż się pan samowolnie oddaiesz djabłu w pazury, przecięż...

OSWALD.

Milcz; stary gmach iakowyś, póydę daley.

ROBERT.

Zmiłuy się pan nad sobą, kiedy się pan nademną zmiłować niechcesz! ieszcze pan napodkaż iaką djablicę z ognistemi oczami, z czerwonym warkoczem i z długim ognistym językiem: wszakże iuż pan dosyć pokazał męstwa, kiedyś miał tyle odwagi weyść do siedliska szatanów, i zlituy się pan nad sobą.

OSWALD.

Precz!..

ROBERT.

To się pan zlituy nademną; iakże ia tu sam zostanę?

OSWALD.

To póydź razem ze mną.

ROBERT.

Kiedy ia z panem iść sobie nie życzę; naylepiey panie, powróciemy do austeryi.

OSWALD.

Miałbym wyiść, nie zobaczywszy tego starego zamku.

ROBERT.

Co tu pan zobaczysz, tylko na pół zwalone mury, w których sowy i czarownice maią swoie mieszkanie. (*klęka*) Zabiy mnie pan, a ia niepuszczę pana. (*trzyma go za połę*).

OSWALD.

Precz tchorzu! (*odchodzi*).

ROBERT *sam*.

Ay, ay, panie, panie! Poszedł, cóż ia tu sam pocznę. Bru, bru. zimny droszcz tańcuie po moich plecach, i odwaga całkiem zniknęła; a ia iak byłem tak iestem znowu tchorzem. (*uderza w czoło*) Ay, ay, lękam się; ciemno, iak w mieszkaniu szatana. (*wstaie i biie siebie w czoło*). Ay, ay, biedny Robertku, co tu z tobą będzie; uciekłbym stąd, ale się boię sam wyiść: iak mnie gdzie iaki ognisty iegomość na drodze zastąpi... Bru, bru, wszędzie cicho, nikogo niesłychać. Ach! gdyby iaki poczciwy duch stąd mnie wyprowadził. Ale co to ia mam w ręku? butelka! dalibóg butelka, szukaymy czy w niey niema ieszcze para kropel odwagi: ieszcze iest troszka, sprobuię, czy się nieprzemienię w bohatera: (*piie*), Ach! teraz czuię, że z samym Lucyperem

poszedłbym w czuby; a cóż to będzie. iak drugi raz wychylę z tey butelki na odwagę? (*chce pić, Rycerz biały uderza go po ramieniu. Robert pada i krzyczy*). Gwałtu, iuż po mnie! Ay, ay. iuż po mnie! Ay, ay, panowie szatani. szatani! mieycie litość nademną; to nie ia, to móy pan, przeszkadza spoczynkowi waszemu; gwałtu, gwałtu!

SCENA VI.

OSWALD i ROBERT *leżący.*

OSWALD.

Co tobie iest Robercie, Robercie?

ROBERT.

Czy mnie pan i po śmierci spoczynku niedaiesz?

OSWALD.

Co tobie iest, tchorzu?

ROBERT.

Już ia teraz nie tchorz po śmierci, nie mam się czego lękać.

OSWALD.

Wstań, czego leżysz na ziemi? póydź za mną!

ROBERT.

Kto umarł, ten iuż chodzić nie może.

OSWALD.

Czyż ty umarłeś?

ROBERT.

Alboż pan niewidzisz, żem iuż pochowany na trzy łokcie w ziemię?

OSWALD.

Nikczemny tchorzu! wstań, albo cię doprawdy na zawsze uspię.

ROBERT.

Już się ia nie boię śmierci.

OSWALD.

Przyidź do siebie tchorzu, wszak ty żyiesz.

ROBERT.

Wątpię żebym żył.

OSWALD.

Nie wątp, ale tak iest: ty żyiesz, żyiesz.

ROBERT *podnosząc się.*

Doprawdy żyie? Czy pan nie żartuie tylko?

OSWALD.

Nie, nie.

ROBERT.

A ia myślałem żem iuż umarł.

OSWALD.

Cóż ci się stało? czego się tak przestraszył?

ROBERT.

Chciałem nabrać odwagi z butelki, aż tu ogromna ręka, tak wielka, iak naytęższa Łopata, iak mnie palnie po ramieniu, myślałem, że mnie kości pogruchocze na miazgę.

OSWALD.

Tchorzu! czego ci boiaźń wystawić nie zdoła.

ROBERT.

Niewiem cobyś pan na to powiedział, gdyby

pana coś podobnego spodkało: podobnoby i pańska odwaga, tak iak moia, w nogi się wsunęła; i iabym nawzaiem panie nazwał tchorzem. No i cóż pan tam takiego widziałeś?

OSWALD.

Nic niespostrzegłem. iak tylko zwalone mury, lochy, kawałki pokruszone kolumn, ale żadney żyiącey istoty...

ROBERT.

Niech nas Bóg od ich widoku zachowa.

OSWALD.

Powrócięmy do austeryi.

ROBERT.

Z ochoto łaskawy panie; spieszmy się. (*słychć szmer.*)

OSWALD.

Cóż to iest?

ROBERT.

Ay, ay, iuż po nas teraz; iuż niemasz ratunku; bru, iuz co teraz nie wyidziemy na sucho, podobno trzeba nam się z światem pożegnać. (*Harmonia słyszeć się daie. kortyna rozwalonych murow podnosi się: widać salę marmurowe. 4ry filary, na podstawach na nich stoią ryccrze biali z mieczami. z wierzchu zdobi gotycka arhitektura, między kolumnami stoi katafal. na nim leży Amazonka czarno ubrana w zbroi, przy niey leży czarny szyszak i kopia. świce się palą; koło trumny siedzą 2 rycerzy czarnych z kopiami w ręku w postawie smutney w nogach, a 2 w głowach.*

O s w a l d.

Milcz, tchorzu!

R o b e r t *zakrywszy oczy.*

Wkrótce my obadwa milczeć będziemy.

O s w a l d.

Muszę się iey przypatrzyć. Prześliczna robota, jak żywi wszystkie się te figury wydaią.

R o b e r t.

Co tu pięknego pan widzisz? młynarze i komminiarze.

O s w a l d.

Póydź tylko zobacz!

R o b e r t.

Zmiłuy się pan, niechodź do nich, bo oni panu głowę ukręcą,

O s w a l d.

Nie lękay się, alboż niewidzisz miecza przy moim boku.

R o b e r t.

Ale się z kim pan bić będziesz? kiedy to tylko cienie. Poszedł; oho, iuż po nim; iuż go więcey nie zobaczę.

O s w a l d.

Rzadka robota, dłuta iakiegoś wielkiego kunstmistrza. (*dotyka się czarnego rycerza*).

R y c e r z *grubo.*

Smiertelniku! czego żądasz?

R o b e r t *w strachu.*

Ay, ay, ay!

Oswald *chwyta się za szpadę.*

Rycerze *wszyscy wołaią*

Biada!

Robert.

Ay, ay, to nieprzeliwki, nie nadobro się to zanosi.

Oswald.

Cóż to ma znaczyć? Kto wy iesteście? (*uderza pałaszem iednego*).

Robert.

Co pan za głupstwo wyrabiasz!

Rycerze *wychodzą naprzód.*

Nędzniku! zginiesz.

Robert.

Oy! męstwo, przybyway mi na pomoc; trzeba szukać od was iakiego ciasnego kontu.

Oswald.

Robert! przybyway mi na pomoc.

Robert.

Dalibóg panie niemam czasu.

Rycerze.

Podday się!

Oswald.

Nie. Walczmy pierwey, kto z nas zwycięstwo otrzyma(*uderza na nich. Czarni z kopiami a biali z mieczami walczą, rycerze usuwaią się, których Oswald przepędza na drugę stronę teatru*).

Robert.

Ay, ay! wszakże to móy pan i szatanow zwo-

iował; kiedy tak, muszę mu iść pomodz. (*dobywa pałasza kawał, i goni się*). *Rycerz uderza go płazem po plecach.*

ROBERT *upada.*

Ay, ay, gwałtu! ani iedney wemnie całey kostki niemasz.

OSWALD *zwycięża rycerzy.*

AMAZONKA *zrywa się.*

Słóycie!

ROBERT.

Co? ieszcze i ta wstaie? Niemasz ratunku, iuż umarłem. (*sunie się w kąt*).

AMAZONKA.

Podday się!

OSWALD.

Nigdy.

AMAZONKA.

Zday się na łaskę, poświęć mi twoią osobę, a będziesz uratowany.

OSWALD.

Jeszcze miecz w ręku moim, ieszcze nie iestem zwyciężony. (*chce się bic*).

AMAZONKA.

Poznay, co siła moia może. (*daie znak, klatka zapada na Oswalda*).

OSWALD.

Ha, nikczemni! zdradą mię pochwyciliście, męstwu moiemu musielibyście ustąpic.

AMAZONKA.

Jesteś moim, na wieki wtrącić go w otchłań niezgłębioną.

OSWAŁD.

Luidgardo! nieszczęśliwa Luidgardo!.. (*wpośród grzmotów i błyskawic, klatka zapada z Oswaldem, rycerze klękaią*).

AMAZONKA.

Już iest naszym.

KONIEC AKTU PIERWSZEGO.

AKT II.

SCENA I.

Teatr wyobraża gmach starego zamku, co w 5tey scenie w akcie 1szym.

ROBERT *sam leży na ziemi.*

Ratuycie, ratuycie! Cóż to iest, że mnie dotąd nie zabiiaią? Czy ia mam głowę na karku, czy ią iuż panowie szatani ukręcili? Zdaie się, że ieszcze iest; ale sam sobie nie wierzę: może ia i niemam głowy. O! gdyby iaka poczciwa dusza zapewnić mnie o tém chciała... Ale cóż, kiedy tu niema nikogo, cicho i spokoynie, (*ogląda się*). A prawda, że niema. Wszystko gdzieś zniknęło, tylko iakiś zakopciały gmach przedstawia się oczom moim. No! to ieszcze miłosierni iacyś panowie szatani. wolę iuż po grzbiecie dostać iak bez głowy po świecie się czołgać, (*wstaie*). Ale gdzie to móy poczciwy pan nieboraczek? Już pewno nie żyie; iuż go tam pewno na rozpalonych pieką blachach, wysmażą go iak pączek. Bru, zimny droszcz tańcuie po moich plecach, skoro wspomnę ostatnie słowo pani diablicy, iak powiedziała, iuż iest naszym; lepiey to zawsze mężnemu, gdybym był z moim panem razem powędrował w podziemne kraie; ale leżącego na ziemi niespostrzegli, i tak porzucili; a ia też za to gniewać się

na nich nie mogę: bo włocęgi nienawidzą. No co teraz drapaymy w nogi, niema co tu robić, trzeba dadź znać moiey pani o wszystkiem co się tu z moim rycerzem przytrafiło; gdyby mnie tylko na prawdziwą ściezkę trafić się udało. . . . Gdzież tu póyść, w te lub owe strony? (*chce iść*).

LUIDGARDA *za sceną*.

Oswaldzie!

ROBERT.

Ay gwałtu! co to było?

LUIDGARDA.

Oswaldzie!

ROBERT.

Bru, cóż to za głosik? pewnie iakaś pani upiorzyca wlcze się do mnie z wizytą; a ia prawdziwie tak iestem roztargniony, że niewiem czy ią godnie będę mógł przyiąć.

LUIDGARDA.

Oswaldzie!

ROBERT.

Dali bóg coraz bliżey przychodzi. Jey głosik, jak delikatny świderek wkręca się w ucho moie. Jak ia tu z nią witać się będę?

LUIDGARDA.

Oswaldzie! gdzie iesteś?

ROBERT.

Co? czy mi się zdaie?...

LUIDGARDA.

Robert!

ROBERT.

Dalibóg Robert, wymieniła imie moie.

LUIDGARDA.

Oswaldzie! Robercie!

ROBERT.

Nie może trafić, odezwę się iey, to może prędzey tu trafi po głosie. Ja! (*udarza się*) Cicho, co też ia za głupstwo chcę zrobić: iakby mnie tu szanowni mieszkańce tych brudnych gmachów posłyszeli, toby iuż i pomnie było; wolę póyść spokoynie na iey spodkanie; tu w tey zdaie się stronie. No, śmiało tylko, śmiało; nie bóy się Robertku, nie bóy się. (*z bojaźnią odchodzi*).

SCENA II.

LUIDGARDA *wpada.*

Próżno go wołam, głuche tylko echo odpowiada mi na moie wołanie. Ha, co zastraszliwe zwaliska! może móy nieszczęśliwy Oswald.. Ach! iuż go niema, tak prędko swoię opuścił Luidgardę. Nie; i ia żyć niechcę; chcę umrzeć na grobie Oswalda.

SCENA III.

LUIDGARDA i AMAŻONKA. *pioruny uderzaią*

AMAZONKA.

Smiertelnico! czego żądasz w przybytku śmierci, w którym ia rozkazuie.

LUIDGARDA.

Dobroczynne iestestwo! powroć mi mego Oswalda. Czyliż zechcesz udręczać słabą kobietę, któréy siła nierówna się twoiey potędze.

AMAZONKA.

Oswald iuż nie iest twoim.

LUIDGARDA.

Nie!...

AMAZONKA.

Oswald w moiey mocy, odbierze karę występku swoiego.

LUIDGARDA.

Cóż on popełnił?

AMAZONKA.

Smiał wstąpić w progi, których żadne żyiące iestestwo przestąpić niepowinno.

LUIDGARDA.

Boże! i cóż go czeka?

AMAZONKA.

Smierć.

LUIDGARDA.

Smierć okrótna!... Czyż iego przewinienie tak wielkie, żeby aż śmiercią był karany. Co tobie szkodzi iego odwaga?

AMAZONKA.

Uchodź z tych mieysc, ieżeli niechcesz temu podpaść losowi, zostaw go, iego przeznaczeniu.

LUIDGARDA.

Co? iabym go opuścić miała!... Nie; ia nieustą-

pię z tych mieysc straszliwych, dopuki albo życia mego małżonka, albo zgonu moiego, niewyżebrzę u ciebie.

AMAZONKA.

Czy chcesz razem z twoim małżonkiem umierać ?

LUIDGARDA.

To iest iedynym życzeniem, które mi w tey chwili pozostaie. O! zaklinam cię, ieżeli iesteś iestestwo nad ludzi, połącz mnie z nim razem, a los nam iakikolwiek będzie, zmożnieyszym się nam stanie.

AMAZONKA.

Napróżno, wieczność rozdziela was. Oswald na tonie wyższey piękności nad śmiertelną kobietę będzie pędzić chwile nienstanney roskoszy, albo naysroższe kary czekaią go.

LUIDGARDA.

Ach! możeszże bydź tak okrótną? Oswald niezapomni Luidgardy.

AMAZONKA.

Wymyślne męczernie, zniewolą go do tego.

LUIDGARDA.

Pozwól dzielić z nim iego przeznaczenie.

AMAZONKA.

To bydź niemoże, wychodź z tych murow, w których dotąd żaden śmiertelnik bezkarnie nie powstał.

LUIDGARDA.

Nic, napróżno, nie potrafisz mnie ztąd oddalić, będę czekać w tych spustoszonych gma-

chach małżonka moiego; będę wołać tak głośne, aż moie słowa przebiią się przez grubo ściany tego zamku, i dóydą do uszu iego.

AMAZONKA.

Uporna! dosyć iuż tego sprzeciwienia się mey woli. Oswald nie iest więcey twoim małżonkiem, on musi dla inney poświęcić swoie serce, zrzec się musisz prawa od iego ręki, albo śmierć nayokropnieysza, w płomienistych pieczarach, zakończą iego życie. Wyday wyrok n tychmiast!

LUIDGARDA.

O nieba! cóż mam począć? Zrzec się Oswalda, dla którego żyć tylko pragnę, albo stać się przyczyną iego okropney śmierci?

AMAZONKA.

Bez namysłu, wybieray albo iedne skinienie moie co żadna siła do życia przywrócić go nie potrafi (*daie znak, dwóch rycerzy białych wychodzą z mieczami*). Patrz! oto są moi poddani; ieden znak, iedno skinienie, stanowi życie albo śmierć Oswalda. Wybieray.

LUIDGARDA.

Ach! zatrzymay się, day się zmiękczyć na prośbę powracaiącey małżonki.

AMAZONKA *do rycerzy.*

Niech Oswald natychmiast...

LUIDGARDA.

Wstrzymay się, niech będzie twoim, ale pozwol mi go widzieć raz ostatni; pozwol mi go raz ieszcze usciskać, nazwać go moim i wieczne od niego odebrać pożegnanie.

AMAZONKA.

Stanie się twoiey woli zadosyć, będzież go widziala; lecz drżyi, ieżeli mey woli nieposłuszną się staniesz..Oswald w twoich oczach zamordowanym zostanie. Póydź zamną!

LUIDGARDA.

O! okropne przeznaczenie! iakież ciosy straszliwe wymierzyliście przeciwko nam (*odchodzi*).

SCENA IV.

ROBERT *sam.*

Naprózno iey szukam, podobno i ona równego z rycerzem moim doznała losu. O! biedna pani moia! coraz większy mnie strach ogartywa, lękam się daley i kroku postąpić. Zdaie mi się, że pod każdym moim stąpieniem, ziemia się ugina; płomienia wybuchaią (*postępuie i wlazi na butelkę którą w 1m akcie opuścił*); a ia po samych trupach maszeruie. Ay, ay. gwałtu! iuż po mnie, otoż na iednego natrafiłem, (*pada*). Bru, wielmożni szatani dobr.! mieycie litość nademną, cóż zemną chcecie robić? Jeżeli mnie usmażyć myślicie, toście się źle wybrali: bo ia chudy i skwarki ze mnie bydź nie mogą. He cóż to iest, że nikt się nierusza. (*maca*) Niemasz nikogo, a przecię na cóś natrafiłem, (*bierze butelkę*). A to co? butelka! dalibóg butelka! kto niebył nayodważnieyszy z czynow moich, tak się przelęknąć butelki; no proszę uniżenie, nieraz z kilkadziesiąt spotykałem się butelkami, a byłem odważny i śmiały, a tu iedney się przelękłem (*trzęsa*) Ale prawda, iakże się iey nie lękać, kiedy to trup, istotny trup, ani kropli duszy w niey nie

ma. Oy! szkoda wielka że próżna, zdałaby się teraz pokrzepić strudzone członki i zeschłe gardziołko odwilżyć, możebym więcey nabrał odwagi. Co ia tu mam robić? Rycerza, ani iego małżonki, nie znaydę, chocbym szukał; lecz trudno iuż znaleść, co szatan zakryie; albo też iść szukać ich? Możebym też im pomodz zdołał, może też panowie piekielnicy zobaczywszy ważną posturę, osobliwie iak minę zrobić? doprawdy się przelękną, i ha sprobuymy, wszak to ia niebędę pierwszy na świecie co tu tylko zuch z miny, a nie szerpetyny? wieleż to takich ichmościów co to obszywaią się skurą tygrysią, krzykiem lwa przestraszaią okolice; a kiedy przyidzie co do czego, to zmykaią iak tchorze, (*odchodzi*).

SCENA V.

Arkady czyli lochy podziemne.

OSWALD *sam w kaydanach*

Nieba! cóż się zemną stanie, iakiż los mnie czeka. O! gdybym miał oręż, torowałbym nim sobie drogę do lubey Luidgardy, albo zakończyłbym smutne chwile życia moiego. Ach Luidgardo! iak straszne męczarnie cierpi twoia dusza! Napróżno oczekuiesz małżonka twoiego, iuż go więcey widzieć nie będziesz; ten straszny rozdział z tobą, przelnie pasmo życia moiego rozkazuiącemi zrzec się ciebie, zrzec się Luidgardy, którą nad wszystko przenoszę, która osładza mi przykre chwile dni moich. Nie, nigdy: z tobą się złączyć lub umrzeć, to iest moim postanowieniem.

SCENA VI.

OSWALD i NIEWOLNIK *w kaydanach.*

NIEWOLNIK *oglądaiąc się.*

Panie, panie! posłuchay mnie.

OSWALD.

Kto iesteś?

NIEWOLNIK.

Nieszczęśliwy, który iuż lat 30 w tém okropném ięczy więzieniu.

OSWALD.

Lat 30? O nieba! powiedź, za iakie przewinienie?

NIEWOLNIK.

Moie przewinienie równe twoiemu. Zamkiem tym rządzi piekielna poczwara, która młodych rycerzy stara się usidlić, aby wieczney pogrążyć przepaści. Nie wierz iey przyiemnym słówkom, schroń się.

OSWALD.

Nadaremne twoie przestrogi; mam żonę naymilszą, którey nigdy się nie zrzekę, i chociażby mi nayokropnieyszą śmierć wybierać przyszło.

NIEWOLNIK.

Niedopuszczay się panie tak daleko, inaczey los równy moiemu cię czeka.

OSWALD.

O nieba! Wieczne więzienie! wieczny rozdział

z Luidgardą!.. niemiałbym więcey bóstwa moiego oglądać.

NIEWOLNIK.

Jest ieden sposób, ale panie niewyday mnie, bowiem nayokropnieysze męczarnie zgonby móy podzieliły.

OSWALD.

Spuść się na słowo rycerskie; mów.

NIEWOLNIK.

Przystań na pozor, na chęci tey poczwary, zrzec się twey małżonki, a pózniey znaydziesz sposobnieyszą porę do wymknięcia się z tego okropnego siedliska strachów z obrzydzenia; a ieżeli ci posłuży okoliczność, nie zapominay i o mnie, skroć moie męczarnie, potargay moie kaydany.

OSWALD.

Nie iestem w stanie ani na pozor nawet zrzekać się małżonki.

NIEWOLNIK.

A więc wieczne więzienie. O! ty niewiesz rycerzu, ile ofiar nieszczęśliwych ięczy w podziemnych lochach tego strasznego zamku, wszyscy żądaią wybawienia.

OSWALD.

Poday mi inny srzodek, day miecz w ręce moie, a same poczwary piekielne pierzchnąć muszą; ale nie kaz zrzekać się Luidgardy moiey.

NIEWOLNIK.

Ależ to tylko na pozor. Lecz słyszę nadchodzącą; na miłośc ludzkości, nie zdradź mię panie (*odchodzi*).

O s w a l d.

Bądź zupełnie spokoyny.

SCENA VII.

OSWALD i AMAZONKA.

A m a z o n k a.

Oswaldzie! iestem znowu przy tobie. Cóż? nie chceszże mi poświęcić siebie?

O s w a l d.

Mam żonę, i nikt nie iest w stanie z nią rozłączyć.

A m a z o n k a.

Czego żądasz? na moim łonie znaydziesz ró, wnież przyiemne rozkoszy. Luby Oswaldzie-chciey mi bydź wzaiemnym. O! gdybyś ś czuł tę miłość, iak serce moie dla ciebie pała, nie udręczałbyś mnie zapewne.

O s w a l d.

Cóż mogę dla ciebie uczynić? Chceszże mnie dla siebie zmusić do złamania wiary moiey małżonce? Naprózno, tego uczynić nie zdołasz. Kocham ią, poświęciłem wszystko dla niey, i ieżeli tego potrzeba będzie, naychętniey i życie dla niey poświęcę.

A m a z o n k a.

Lecz gdyby twoia małżonka niegodną była twoiey miłości?

O s w a l d.

Niegodną? Ha! cóż mnie wstrzymuie. Luidgarda niegodną, ten anioł niewinności.

AMAZONKA.

Gdyby Luidgarda zrzekła się ręki twoiey?

OSWALD.

Nie, tego ona uczynić nie może, aż nadto mnie kocha, ażeby miała zrzekać się tych związków, serca nasze szczęśliwość stanowią.

AMAZONKA

Ale gdyby mi musiała odstąpić ręki twoiey, gdyby ten iedyny srzodek ratowania cię, iey pozostawał?

OSWALD.

I natenczas niepowinna się zrzekać Oswalda. Miła mi będzie śmierć z tym przekonaniem, że Luidgardy miłość niosę do grobu.

AMAZONKA.

Wiesz, że Luidgarda równie iak i ty iest w moiey mocy?

OSWALD.

Luidgarda?.. Ha furye piekielne! drżycie. chociaż żelazem obciążony, walczyć z wami będę doputy, aż uwolnię małżonkę, albo śmierć z rąk waszych odbiorę. Gdzie ona iest? pokażcie mi ią, albo te mury w gruzy zamienię.

AMAZONKA.

Jey los równy iest twemu, rozdzielić się musicie, albo drżycie.

OSWALD.

Nikczemna! kto ci dał moc tak postępować z ludzmi wolnemi, do których żadnego niemasz prawa?

A m a z o n k a.

Ja sama iestem królową tych mieysc, wszystko tu zna moie rozkazy, a ty ieden odważasz się sprzeciwiać onym: wiedz, że los twóy iuż iest rzuconym, zginiesz.

O s w a l d.

Tego pragnę; wolę umrzeć niż oddać się w ręce podłym zbóycom; ale i ty drzyi, siedlisko twoie odkrytym zostanie, a ciebie nayśroższe czekaią kary.

A m a z o n k a.

Ha, ha, nędzny śmiertelniku! moia siła, wyższa iest nad ludzi; każdy tak z powietrznych iako i podziemnych duchow, iest na moie skinienie... Przygotuy się, albo zrzec się małżonki, albo śmierć okrótna będzie twoim udziałem, wkrótce przybędę los twóy roztrzygnąć. (*odchodzi*).

O s w a l d.

Nie ociągay się; zaday mi śmierć, ale uwolni małżonkę Luidgardę. Tu Luidgarda, tu, o czemuż nie mogę ią ratować, chętniebym życie dla iey uwolnienia poświęcił.

S C E N A VIII.

OSWALD i LUIDGARDA

L u i d g a r d a *za sceną.*

Oswaldzie! Oswaldzie! (*wpada*).

O s w a l d.

Luidgardo! Luidgardo! (*ściskaią się*).

Luidgarda.

Jesteś mi znowu wrócony. Ach! wszystkiego zapomniałem, kiedy cię tylko mam znowu w objęciu. Lecz co widzę! ty w kaydanach? O nieba! więc to iest istotną prawdą, że ty masz umrzeć?

Oswald.

Albo zrzec się ciebie?

Luidgarda.

Cóż wybierasz?

Oswald.

Smierć.

Luidgarda.

Dobrze, więc umrzyimy razem. Cios śmiertelny, który ciebie dosięgnie, skróci dni moie.

Oswald.

Luidgardo! naymilsza Luidgardo! Ach! iak okrótne przeznaczenie nasze. Dla czegoż wszedłem do tego okropnego zamku, w którym iacyś mordercy siedlisko swoie założyli. Ach! przezemnie i ty iesteś nieszczęśliwą.

Luidgarda.

Nie, Oswałdzie! nie iestem nią. Chociażby oni i duchami byli, cóż nam więcey uczynić mogą? iak tylko odebrać życie, odmienić serca nasze, nie iest w ich mocy. Nie rozpaczay Oswaldzie, może znaydziemy ieszcze sposobność wymknięcia się z tego strasznego mieysca. Potęga niebios iest większą, aniżeli piekło, Bóg nas ochraniać będzie.

Oswald.

Gdyby nie te kaydany, gdybym mógł dopaść

oręża, nauczyłbym tych podłych morderców, co to iest małżonek kochaiący żonę: krwią zbrodniczą, zbroczyłbym ścieszkę, którąbym wprowadził ciebie; a tysiące tych potaiemnych zbóyców, wydrzeć cię z rąk moich niepotrafiłyby.

LUIDGARDA.

Wstrzymay się, ktoś tu się zbliża.

OSWALD.

Ach! to iest ten sam niewolnik, któren mi podawał śrzodki ratowania się.

LUIDGARDA.

Dla czegoż się ich niechwytasz?

OSWALD.

Nie mogę.

LUIDGARDA.

Dla czego?

OSWALD.

Bo one mi rozkazuią zdradzić miłość moią.

LUIDGARDA.

Zdradzić? O nieba!..

SCENA IX.

Ciż sami i NIEWOLNIK.

NIEWOLNIK.

Panie, iuż wszystko przygotowano do twoiey śmierci, za kilka chwil masz umrzeć.

OSWALD.

Umrzeć?

N i e w o l n i k.

Albo zrzec się małżonki twoiey.

O s w a l d.

Jestem na śmierć przygotowany.

L u i d g a r d a.

Oswaldzie!... O nieba! cóż mam począć? Wprawdzie mnie to życie kosztować będzie, ale wolałabym się zrzec ciebie, iak widzieć umieraiącego.

O s w a l d.

Luidgardo! cożeś to wyrzekła? I tyż dla nędznego życia, chciałabyś zdradzić miłość twego Oswalda?... Na toż zasłużyłem u ciebie?

L u i d g a r d a.

Ależ patrzeć na przedmiot ubóstwienia ostatnie wydaiące tchnienia, to przechodzi siłę i moc słabey kobiety i małżonki.

O s w a l d.

Ach! wołałbym tysiąc razy skonać, niżeli raz wyrzec się ciebie. Los móy iuż rzeczony, umrę.

L u i d g a r d a.

Dobrze więc, Luidgarda cię nieprzeżyie, w objęciu małżonka, zakończe życie. (*słychać pogrzebowy marsz*).

O s w a l d.

Cóż to ma znaczyć?

N i e w o l n i k.

Czynią przygotowania do twego zgonu. Panie! muszę ci odkryć ważną taiemnicę, możesz się ratować, ale tylko; niezdrać mię nadchodzą, muszę się schronić, bądź mężnym. (*odchodzi*).

OSWALD.

Mogę się ratować? Jakim sposobem? — (*Tu marsz żałobny, wchodzą 4 rycerzy białych z dobytemi pałaszami, za niémi 4 rycerzy czarnych z kopiiami, za niémi 4 kobiety biało ubrane z welonami na głowach i pochodniami, za niémi 4 giermków czarnych niosą trumnę, kat z toporem; cała ta parada odbywa się krokiem wolnym, obszedłszy dwa razy teatru i za kulisy.*

LUIDGARDA *przestraszona.*

O nieba! Te straszne przygotowania...

OSWALD.

Do moiego zgonu.

LUIDGARDA.

Do wiecznego życia? tam nie iuż nas nierozdzieli.

NIEWOLNIK *wychodzi.*

Panie! ieden sposób ratunku ci pozostaie. Oto iest pilnik, którem twoie kaydany rozerwać może. Tu iest drabinka sznurowa, za pomocą którey przez mór spuścić się możesz na pole; bądź ostróżnym i działay szybko, bo krótkie są chwile życia twoiego. Ale szanowny rycerzu, pozwól i mnie uchodzić z sobą, niech oglądam ieszcze przed zgonem przyiemne światło słoneczne.

LUIDGARDA.

Poczciwy starcze! iakaż wdzięczność...

NIEWOLNIK.

Spieszmy się. Poday mi panie twoie kaydany, wkrótce ie rozerwę. (*pituie*).

SCENA X.

Ciż sami i AMAZONKA z RYCERZAMI.

AMAZONKA.

Zdrayco!

NIEWOLNIK.

O nieba! iuż po mnie.

LUIDGARDA.

Cóż się ze mną stanie?

AMAZONKA.

Duchy pod władzą skinieniom moim, pochwyćcie tego zdraycę, i prowadźcie na śmierć.

RYCERZE *porywaią niewolnika, Oswald z wściekłością rzuca się między rycerze, i wyrywa iednemu pałasz i obrania starca.*

OSWALD.

Złoczyńcy! niedopuszczę tego, dopóki tylko tym orężem władać będę.

AMAZONKA.

Pełniycie moie rozkazy. (*rycerze zwyciężaią*).

OSWALD.

Litości, litości! (*klęka*) Nie żebrałbym o moie życie, ale ten starzec iest niewinny, on się ulitował tylko nieszczęścia moiego, przebacz mu.

AMAZONKA.

Jego życie od twego wyboru zawisło. Zrzekasz się twoiey małżonki?

NIEWOLNIK.

Panie! miey litość nademną.

O s w a l d.

Boże! cóż mam czynić Luidgardo?

L u i d g a r d a.

Oswaldzie! (*ściskaią się*).

N i e w o l n i k.

Panie! ratuy nieszczęśliwego starca.

A m a z o n k a.

Czekam odpowiedzi.

O s w a l d.

Starcze nieszczęliwy! życie twoie chciałbym własnym moim okupić, ale niebo samo widzi, że nie mogę, nie mogę. (*ściskaią się*).

A m a z o n k a *na niewolnika.*

Zamorduycie go (*rycerze porywaią*).

N i e w o l n i k.

Panie, i ty mnie zabiiać dopuszczasz? (*rycerze wyprowadzaią niewolnika*).

O s w a l d.

O! wściekłości i furyi piekielney, czemuż mi nie użyczycie siły na zgnębienie prześladowców moich.

A m a z o n k a.

Rozłączcie ich! (*rycerze porywaią się*).

L u i d g a r d a.

Oswaldzie!.. (*ściskaią się*).

O s w a l d.

Luidgardo!... Tyrani! zamordnycie nas razem. (*rycerze rozdzielaią ich z osóbna*).

L u i d g a r d a.

Oswałdzie!

O s w a l d.

O! czemuż siła ludzka tak słaba? Czemuż tego żelaza pokruszyć nie mogę? Przez litość, zamorduycie mnie.

A m a z o n k a,

Za kilka chwil spełnią się twoie żadania. Prowadźcie ich. (*rycerze z osóbna każdego odprowadzaią*).

Koniec aktu drugiego.

AKT III.

SCENA I.

Teatr wyobraża los na srzodku pnia z toporem i dzień.

Robert *oglądaiąc się.*

Gdzież to ia iestem? Bogu dzięki, na wolnym mieyscu. Ach! kamień młyński spadł z serca mego; tego przeklętego zamczysku, nie zapomnę i za lat 200. Co ia tu strachu wycierpiałem... No, to ia ieszcze z całą głową wyszedłem?.. Panowie szatani, nie musieli widzieć za rzecz potrzebną uważać skręcenia mi iey; ale co móy rycerz i iego małżonka, ani wątpić, że muszą bydź do tego czasu u pana Lucypera na obiedzie. Dobrze, że on mnie także nie zaprosił. nie mógłbym pewnie strawić iego potraw gorących... Naprożno szukałem ich po całym zamku. gdzie tam ani śladu. Oy! biédny móy pan. szkoda go, otoż to są skutki odwagi. O iak ia Bogu dziękuie, żem się nie urodził odważnym zbytecznie, możebym już dawno grzebał ziemię. Nie iestem ia wprawdzie tchorzem, ale zwady nie lubię tylko: bo kiedy mnie kto naprzykład raz zamaluie w gębę, to ia milczę, i uważam do kogo to należało; za drugim policzkiem, słucham, i czekam okazyi; ale

kiedy iuż trzeci raz liznie, to wychodzę z cierpliwości: staię, trzy razy się obliżę, spuszczę w dół oczy, i pytam się w około przytomnych: mości panowie! co to było? oni odpowiedzą zwyczaynie, niewiemy; ia też powtarzam także niewiem; idę spokoynie w swoią drogę, otoż iest wyborny sposób umknienia kłótni.

RYCERZ *za sceną.*

Tchorzu!

ROBERT.

Ay, ay, ay! Czy tu kto mówił?

RYCERZ.

Tchorzu!

ROBERT.

Tchorzu? to nie domnie bydź musi.

RYCERZ.

Tchorzu!

ROBERT.

Czy mu się odezwać, czy nie? lepiey siedźmy w koncie cicho. Na cóż przyznawać się do tego; teraz moda nastała, że nikt do swoiey wady nieprzyznaie się: głupi chce bydź mądrym, tchorz troche odważnym, zbrodzień poczciwym; a kokietka cnotliwą; idźmy i my za tym przykładem.

RYCERZ.

Tchorzu!

ROBERT.

Nie ma go tu.

RYCERZ.

Tchorzu, Tchorzu!

ROBERT.

Czy wielmożny szatan dobr. mnie woła? He! co? iak? (*pauza*) Nikt się nieodzywa, może też na tym dosyć mi będzie. Staraymy się iakim sposobem ztąd drapnąć, będę zmykał iak zaiąc kiedy go charty doganiaią. (*odchodzi i spostrzega rycerzów*) Ay, ay! co tu tego? nowa bieda. Wszakże to tych białych i czarnych szatanów, cała się tu kopa wali. Ay, ay! gdzie się tu ukryć? niema spokoynego nigdzie mieysca. Wlazę w tę krzewinę i polecę Panu Bogu jedynego ducha, przynaymniey na iaki czas przedłużę sobie życie. (*chowa się za krzak*).

SCENA II.

OSWALD, biali i czarni rycerze wprowadzaią go w kaydanach i Robert za krzakiem.

RYCERZE

Tu iest mieysce, oczekuy naszey królewey, ieszcze raz ostatni napominać cię będzie.

OSWALD.

Czekam śmierci. Jeżeli koniecznie mi umierać potrzeba, więc zamorduycie mnie natychmiast, spokoyny umierać będę nie patrząc na burzycielkę szczęśliwości moiey.

RYCERZ.

Taki iest iey rozkaz, wkrótce i ona tu przybędzie.

O s w a l d.

O! przeznaczenie okrótne. Gdzież iest moia Luidgarda?

R y c e r z.

W więzieniu.

O s w a l d.

W więzieniu? O nieba! a ia ratować ią nie mogę. Pozwolcie mi przynaymniey widzieć raz ieszcze bóstwo serca moiego.

R y c e r z.

Wkrótce ią zobaczysz. (*odchodzą dwóch rycerzy*).

O s w a l d.

Nieszczęsna małżonka! takież to uszczęśliwienie, które ci zawsze przysięgałem?.. Ty cierpisz, ia skrócić twey męczarni nie mogę; umrę więc umrę. Ach! aby prędzey przecięli pasmo smutne życia moiego; z obięcia Luidgardy, rzucę się w obięcie śmierci, z tym przekonaniem, że iestem kochanym słodko umierać będę. Ale gdzieszże iest móy Robert, i iaki los spodkał tego nieszczęśliwego? O! gdyby mi mógł powiedzieć, czy żyie, czyli też okrótni mordercy i iego poświęcili wściekłości swoiey?

R o b e r t *wysuwaiąc głowę.*

Żyię; ale czy długo żyć będę, tego niewiem: bo strach połowę duszy iuż ze mnie wypędził.

O s w a l d.

Robercie! czy ty tu iesteś?

R o b e r t.

Tu panie! ale niewiem, czy długo tu przebywać będę?

OSWALD.

Ach! Robercie, bądź na wszystko ostróżnym, i staray się z tego okropnego siedliska wydobyć się, a wtenczas donieś moiemu stryiowi, co się ze mną stało.

ROBERT.

Panie, Panie! Czy niemożna iakim sposobem zrobić z tego mieysca fugaz chrustas?

OSWALD.

Robercie! co ty mi radzisz? ia miałbym zdradzić moię naymilszą Luidgardę.

ROBERT.

Tam do diabła, zapomniałem; ale czyż ią pan zdradzisz, pan ią kochać możesz, ale trzeba się tylko stosować do okoliczności, kiedy się tak skupiły: a potém czy to pan pierwszy będziesz na świecie, co to dla interessu żonki zdradzaią.

OSWALD.

Nie, tego nigdy nie uczynię. Powtóre czy nie widzisz straży?

ROBERT.

A! prawda, zapomniałem o tém; ale nie może mi wyyść z głowy iak oni powyłazili z dziur? bo ia dalibóg będąc w wielkim strachu, nie mogłem tego poiąć. Wiesz pan co, wpadniemy na tych dwóch rycerzy, odbierzmy im oręże, a tak będzie nayłatwiey nam zrobić fugas nogas. Ay, ay, ay!

SCENA III.

Ciż sami i RYCERZ Czarny,

RYCERZ.

Królowa się zbliża.

ROBERT.

Ay, ay, ay! iuż teraz to nie wymkniemy ztąd na sucho.

OSWALD.

Nie lękay się niczego. Póki tylko temi rękami władać będę, dopóty nieprzestanę ścigać tey poczwary, która dręczy nas niemiłosiernie.

SCENA IV.

Ciż sami i AMAZONKA.

AMAZONKA.

Naymilszy Oswaldzie! i cóż, namyśliłeś się?

OSWALD.

Próżne są twoie chęci.

AMAZONKA.

Niewierzysz naydroższy Oswaldzie, ile cierpi moia dusza, że nie mogę ciebie posiadać na swoim łonie.

OSWALD.

Bo iest dla ciebie z trudnością; gdyż tylko dla iedney poświęciłem moię miłość, i to dla Luidgardy.

AMAZONKA.

Wszystkie skarby i bogactwa będą twoią własnością, tylko poświęć się dla mnie.

OSWALD.

Nigdy.

ROBERT.

Niedziw, że ma wielkie skarby; bo u nas u świata wszystkie pieniądze diabli biorą, to pewno do niey zanoszą.

AMAZONKA.

Czyliż nic cię wzruszyć nie może?

OSWALD.

Nic.

AMAZONKA.

Nędzniku! poznay co moia moc wykonać zdoła. (*stuka alabardą*).

ROBERT.

No proszę uniżenie; taka bogata, taka rozumna; a tak wielkie głupstwo robi.

AMAZONKA.

Więc musicie patrzeć iedno na drugiego, iak z pod topora katowskiego krew się lać będzie.

OSWALD.

Nic się nie lękam.

ROBERT.

Panie! przystań na iey chęci, możeby to ią ułagodziło; a tak moglibyśmy naylepiey wyyść z niebespieczeństwa.

OSWALD.

Żadne błaganie, żadne postrachy, żadne po-

groźki nie zmuszą mię do złamania wiary dla moiey Luidgardy.

AMAZONKA.

Równie i Luidgarda iak i ty, znaydzie się pod moią władzą.

OSWALD.

Wiem o tém.

AMAZONKA.

Nie miałeś żadney litości nad tém sercem, które pałało ogniem miłości. (*odchodzi.*)

ROBERT.

Nie dziw że pali, bo z piekła pochodzi.

OSWALD.

Wolałbym patrzeć na nayokropnieyszą śmierć, aniżeli na taką poczwarę.

ROBERT.

Ale dalibóg nie mogę poiąć dotychczas, czego ona żąda od pana? Niechby lepiey udała się do tych ichmościów co to żonki gorsze od diablic maią: a ręczę, że żaden nieodmówiłby i chętnie każdy przystałby na iey kapitulacyą.

SCENA V.

Ciż sami. Parada się odbywa iak w akcie drugim. rycerze, kobiety idą za niemi, Luidgarda w łańcuchach, czarną pokryta krepą.

OSWALD.

Luidgardo!

LUIDGARDA.

Oswaldzie!

O s w a l d.

Okrótni! dokąd ią prowadzicie?

R y c e r z.

Na śmierć.

O s w a l d.

O Boże!

L u i d g a r d a.

Nie rozpaczay Oswaldzie, słodka mi będzie ta śmierć, kiedy Oswalda miłość poniosę do grobu.

O s w a l d.

Tyrani! zacóż mordować chcecie niewinną kobiétę? Cóż wam złego uczyniła? Jeżeli gwałtem żądacie ofiary, oto iestem, zamorduycie mnie, ale zostawcie przy życiu tego anioła niewinności.

L u i d g a r d a.

Nie, Oswaldzie! Jeżeli ty masz ginąć, Luidgarda żyć więcey nie chce. Na całym okręgu ziemskim, nic więcey niemam, iak tylko iednego Oswalda; ieżeli go utracę, cóż mi pozostanie? śmierć złączy nasze iestestwa po tamtey stronie grobu, nic nas nie rozdzieli: tam wieczna szczęśliwość, tam nieustanna roskosz uśmiechać się do nas będzie; przebywszy przykrą zimę życia, wiosna przyiemna czeka nas.

O s w a l d.

O Luidgardo! Ty wlewasz odwagę do duszy moiey, która nieustannem cierpieniem, już była wyczerpaną. Dobrze, niech nas zamorduią.

R o b e r t.

O biedny, nieszczęśliwy panie! O biedna pani!

cóż się z wami stanie? iestem wprawdzie tchorz, śmierci się boię i Szatana, ale gdybym was mógł uratować, kto wie czybym się nienamyślił położyć kark pod tamto narzędzie.

RYCERZ.

Jeżeli chcesz poświęcić się dobrowolnie....

ROBERT.

Ay, do diabła! wyrwałem się iak Filip z konopi. Czy pan prawdę mówisz? zaraz, tylko się namyślę. (*na stronie*). Ay, ay, ay! nie w swoię rzecz się wdałem, widzą że diabła, iak im przyydzie ochota, iak się rozmachaią temi przeklętemi toporami, to i mnie do licha gotowi głowę uciąć.

RYCERZ.

No, i cóż? namyśliłeś się?

ROBERT.

Oho, ho! tak prędko? Toż to głowę dadź uciąć, nie tak łatwo iak zieść chleba z masłem; a potém ia mam iednę głowę tylko, a iak mi ią łaskawi panowie utniecie, to niewiem, czy tak prędko druga odrośnie; a bez głowy byłoby mi niedo twarzy. Wprawdzie miałbym więcey podobnych kollegów co bez głów po świecie chodzą; no, ale maią przecięż iakąkolwiek dla proporcyi.

RYCERZ.

Królowa się zbliża!

ROBERT.

Ay! strach mi wielki bierze, łytki mi drżeć poczynaią, iak gdyby ie febra trzęsła.

SCENA VI.

Ciż sami i AMAZONKA.

AMAZONKA.

Oswaldzie! namyśl się, wszystko gotowo: wiezna szczęśliwość, albo okrutny zgon cię czeka.

OSWALD.

Namyśliłem się.

AMAZONKA.

Odstępuiesz Luidgardy?

OSWALD *ściskaiąc Luidgardę.*

Z nią żyć, albo umierać pragnę.

LUIDGARDA.

Sobą spoieni, poddamy nasze głowy pod toor katowski. Luidgarda w obięciu Oswalda. mierci się nie lęka.

OSWALD.

Dobrze: zamorduycie nas teraz.

AMAZONKA.

Rozłączcie ich! (*rycerze chcą rozłączać*).

OSWALD.

Precz okrótni!

AMAZONKA.

Spełniaycie rozkazy moie! (*rycerze rozłączaią*).

LUIDGARDA.

Oswaldzie! kilka tylko chwil, a znowu złączeni będziemy.

AMAZONKA.

Musicie patrzeć iak krew iednego z was zafarbuie topor katowski.

OSWALD.

Zamorduycie mnie pierwey. Przez litość, niechay nie patrzę na okrótną śmierć Luidgardy.

AMAZONKA.

Dobrze, prowadźcie go! (*prowadzą*).

LUIDGARDA.

Wstrzymaycie się! wydrzycie mnie pierwey życie. Oswaldzie! jestem słaba kobietą, widok tak okrótny, zmieniłby słabość zdołał.

OSWALD.

Czego to żądasz odemnie Luidgardo? mam dosyć męstwa umierać, wytrzymam naysroższe katuszy, ale przecięż na iedną chwilę ciebie widzieć zkrwawioną, twą głowę od ciała odpadaiącą, patrzeć na drgaiąca członki twoie, ach! to przechodzi odwagę moię, tylu męczarniom oprzeć się nie zdołam.

AMAZONKA.

Wybor wam zostawiony, namyślcie się, które pierwey umierać powinno.

LUIDGARDA.

Oswaldzie! luby Oswaldzie! Czyliż więcey iuż mnie niekochasz? tey ostatniey prośby moiey dopełnić niechcesz. Jestem kobietą słabą, patrzeć na śmierć tego z którym wiecznie żyć pragnę, znieść tego niezdołam: i mimo naygorętszą miłość pałaiącą w sercu moiem, musiałabym zrzec się ciebie, wolałabym, cię widzieć żyiącego na łonie inney kobiety, iak poddaiącego

głowę pod miecz katowski, pozwól mi pierwey umierać.

O s w a l d.

Luidgardo! Luidgardo!

L u i d g a r d a.

Wszakże za chwilę połączymy się z sobą: rozdział nasz krótki będzie.

O s w a l d.

Nie! ia nie mogę, nie mogę.

L u i d g a r d a.

Więc wolisz mnie widzieć wiecznie nieszczęśliwą, nie przedstawisz sobie strasznych udręczeń moich, kiedy cię widzieć będę na łonie inney niewiasty: a ten widok przeszedłby męczarnie tysiąca śmierci.

O s w a l d.

Zamorduycie nas oboie. Okrutna! dla czegoż w ostatnim zgonie tak strasznie udręczasz serce moie, czyliż litość nieznana iest sercom waszym?

A m a z o n k a.

Czas ubiega. Postanowcie, które ma pierwey umierać.

L u i d g a r d a.

Ja, prowadźcie mnie.

O s w a l d.

Oboie.

L u i d g a r d a.

Patrz iak krótki iest nasz rodział, kiedy nawet żegnać się z tobą niebędę: tylko to ostatnie ściśnienie przyym na znak wierney tobie do obu miłości. (*sciskaią się*).

A m a z o n k a.

Daley, pełniycie powinność waszę. (*smutna melodya poczyna grać, cztery kobiety zbliżaią się i stoią około kloca, Luidgarda spogląda na Oswalda i modli się*).

L u i d g a r d a.

Boże! użycz mi stałości. *klęka*, (*Amazonka*

daie znak, wchodzi kat, Luidgarda spostrzegłszy, krzyczy; Oswald który był odrzucony, obraca się, a postrzegłszy kata, krzyknął; wszystko to odbywa się w cichey armonii).

OSWALD.

Wstrzymaycie się okrótni! (*chce biedz, rycerze go niepuszczaią*).

LUIDGARDA.

Bądź mężnym Oswaldzie, iednę tylko chwilę. (*klęka, i schyla głowę; kat wznosi topor, Oswald wyrywa się i leci do Luidgardy*).

OSWALD.

Teraz zamorduycie nas, uderzaycie. (*tu uderza piorun, głos okropny odzywa się*).

HRABIA.

Walczcie z lamentami. (*na ten odgłos wszystko co było, rozbiega się, słychać grzmot, muzykę, Furye wypadaią i porywaią Oswalda i Luidgardę, a Robert ucieka*).

OSWALD.

Luidgardo!

LUIDGARDA.

Oswaldzie! (*piorun uderza, las niknie, robi się sala płomienista, w którey siedzi Lucyper na tronie.*

HRABIA.

Oswaldzie i Luidgardo, wyrzekniycie się iedne drugiego, a uratowani będziecie: nic to, większe czekaią was męczarni, namyślcie się, krótkie są chwile życia waszego.

OSWALD.

Ani siła piekła, nie iest w stanie zmusić mnie do zdradzenia moiey małżonki.

LUIDGARDA.

Spełniy nasze przeznaczenia.

HRABIA.

Stanie się zadosyć. (*daie znak, piorun uderza*

furye nikną. Hrabia zrzuca z siebie płaszcz, schodzi z tronu; teatr napełnia się służącemi. Amazonką i rycerzami bez szyszaków). Odbyliście ostatnią probę, poznaycie mnie.

OSWALD.

Co widzę! móy Stryy?

HRABIA.

Tak! iestem twoim zawsze ciebie kochaiącym Stryiem, wziąłem cię na probę, doświadczyłem twoiey stałości i miłości małżonki twoiey; a gdybym był dostrzegł naymnieysze wahanie się, byłbym cię wydziedziczył i wyrzekł się.

OSWALD I LUIDGARDA *klękaią.*

Przebaczenie! przebaczenie!

HRABIA.

Już dawno wam przebaczyłem, iestem kontent z twoiey małżonki, poznałem, że wybor doskonały umiałeś uczynić.

OSWALD.

Więc to wszystko było tylko udaniem? A taż królowa tych mieysc?

HRABIA.

Oto ci ią przedstawiam. Jest to Hrabianka Julia, z którą ci dozgonne przeznaczyłem związki.

AMAZONKA.

Przebacz panie, żem cię tyle udręczała; mnie samę bardzo wiele to kosztowało, ale dałam słowo Hrabiemu, musiałem więc stale dopełnić daney mi roli.

OSWALD.

A ciż rycerze?

HRABIA.

Oto ich masz, są to moi służący.

ROBERT.

Czy tak? Bogu dzięki, to się lepiey skończyło niżelim spodziewał. — Kto iesteś? he!

HRABIA.

To iest móy Koniuszy.

ROBERT.

Koniuszy? ale móy bracie, diabelnie masz ciężką rękę, o małoś mi kości niepogruchotał.

HRABIA.

Byłem bardzo rozgniewany na ciebie, dowiedziawszy się, że przeciwny moim zamiarom: miasto Hrabianki Julii, zasłubiłeś Luidgardę: już cię chciałem wydziedziczyć, taż sama Julia tyle była wspaniałomyślną, iż się wstawiała za tobą, wstrzymałem się; ale postanowiłem probować stałości waszey. Dowiedziawszy się przez taynych korrespondentow, że się wybieracie w podróż, kupiłem prędko tę maiętność; zamek ten, o którym pospólstwo głosi iakoby strachami był napełniony, podał mi plan do tego: kazałem popsuć groble, ażebyś się tu koniecznie zatrzymał: gospodarz z austeryi był namówiony, wszystko naylepiey się udało; wytrzymaliście probę, oto iest wasza nadgroda. *(łączy ich)*.

OSWALD I LUIDGARDA.

Stryiu! oycze!

AMAZONKA.

Wszyscy szczęśliwi, iam iedna naywięcey utraciła.

ROBERT

Czy prawda? bo tak stałego męża, trudno zwabić w tych zepsutych czasach: ale co żonki tak wierney, to na całym świecie niemasz.

KONIEC.

Proba Pióra Dobrego Atramentu
Czarnego

Atramentu